

Flaszka za **siedemset siedemdziesiąt**...

Flaszka kosztowała okrągłe siedemset siedemdziesiąt złotych. Uznałem to za dobry znak – o ile cokolwiek mogło by być dobre poza dobrą whisky w mojej sytuacji. Owe siedemset siedemdziesiąt to była jak raz moja premia, dopiero co otrzymana. Nowy zastrzyk gotówki. Marny, ale w tym wypadku jak raz wystarczający. W każdym innym razie uznałbym tę premię za ponury żart, zestawiając ją z całymi tysiącami, jakie w ramach dodatków zgarniali moi koledzy. Ale teraz byłem całkowicie usatysfakcjonowany. Akurat tyle kosztuje najdroższa whisky w tym obskurnie ekskluzywnym sklepie, a ja właśnie te pieniądze mam. Dobry zbieg okoliczności. Coś mi wreszcie prostuje życie. Gdyby tak kupić świetną, drogą whisky i mieć jeszcze jakieś pozostałości forsy w kieszeni, miało by się wrażenie zmarnowania środków. Bo wykorzystując nadmiar gotówki można by wtedy kupić jeszcze droższą i lepszą whisky – ale takowej w sklepie przecież brak – albo trzeba by dokupić sobie jakąś przekąskę. W jednym i drugim wypadku miało się małe prawdopodobieństwo zmieszczenia się z wydatkami w okrągłej sumie siedmiuset siedemdziesięciu. Najgorsze, jakby miało zostać jakieś marne dwa złote, które trzeba by przeznaczyć na parę zwykłych kajzerek. Pić whisky za kilkaset złotych i zagryzać ją bułkami za parędziesiąt groszy sztuka, czy to nie jest wręcz obrazoburcze dla whisky?

Jeszcze gorzej, jakby whisky kosztowała, na przykład, pięćset złotych. Też musiała by być dobra, Chivas Regal 12-letni to troszkę ponad stówkę, Jańcio Wędrowniczek w wersji złotej to niecałe dwieście, jakieś ciekawostki o smaku i zapachu palonej opony to już trzysta-parę, zaś za pięć setek to się już dostaje taki specjał, że ho-ho! Ale dla mnie by to było bardzo niekorzystne. Zostałoby mi w kieszeni jeszcze dwieście siedemdziesiąt, za to można by dokupić flaszkę – owszem, ekskluzywną, ale taki komplet dwóch flaszek nie byłby tak prestiżowy i superancki jak jedna flaszka za siedemset siedemdziesiąt. Miałbym niesmak, że musiałem się zadowolić czymś nie sięgającym wyżynom ideału; ideału w granicach możliwości finansowych. Owszem, widywało się przecież butelki whisky za kilka tysięcy złotych, dostępne dla każdego, kto był gotów wyłożyć stosowną kwotę na ladę. Nie mówię o flaszkach sprzedawanych na aukcjach za kilkadziesiąt, ba, za kilkaset tysięcy. Nie miałem ambicji pić whisky za takie pieniądze, z prostej przyczyny – bo ich nie miałem. Chociaż – co by było bardziej złośliwego od tego, by wziąć kredyt na kilkaset tysięcy, kupić za niego flaszkę wybornej whisky z piwnic króla Edwarda III, wypić ją, a potem wpaść po pijaku pod samochód i nie spłacić kredytu...

Nie, to jednak nie w moim stylu. Chcę przepić uczciwie zarobione pieniądze. Te marne grosze, które dostaję za pracę wartą dziesiątki tysięcy. Wiem co mówię, mówiąc o wartości swojej pracy. Firma, która mnie zatrudnia, zgarnia z tytułu mojego zawodowego zaangażowania trzydzieści dwa tysiące złotych – właśnie tyle. Szczerze mówiąc, nie mam o to żalu, na tę kasę składa się coś więcej niż tylko dyspozycyjność mojej osoby. Nie mam o nic żalu. Choć może gdybym zarabiał te trzydzieści dwa tysiące na czysto – no dobra, minus podatek – to pewnie nie kupowałbym teraz whisky za siedemset siedemdziesiąt złotych. W ogóle nie kupowałbym whisky – bo nie jestem jakimś wielkim amatorem mocnych

alkoholi, ani alkoholi jako takich w ogóle. Nie paliłbym też kubańskich cygar, bo nie palę w ogóle. Nie grałbym w ruletkę ani pokera, nie interesuje mnie hazard – uważam to za rozrywkę o wybitnie niskim poziomie. Szczerze mówiąc, nie wiem co bym robił. Nie zarabiam tyle, więc nie mam tego problemu. Ale ewentualnie mając ów kłopot, to rozwiązałbym go zupełnie inaczej niż poprzez przepicie.

Popatrzyłem na flaszkę. Stary dobry Allen MacDee, trzydzieści sześć lat leżakowania, gwarancja pochodzenia z jednej beczki, single malt, nie mieszana. Starsza ode mnie. Ma więc autorytet. Jeżeli się upić, to tylko whisky z autorytetem. Bierzemy? Lepszego układu od whisky za siedemset siedemdziesiąt złotych nie znajdę, nawet jak bym trafił inną whisky za tę samą cenę, to nie sądzę, by była jeszcze starsza niż ta. Bierzemy. Podchodzę i zamawiam. Siedemset siedemdziesiąt. Przyjemna dziewczuszka z kucykiem bez mrugnięcia okiem sięga na górną półkę i zdejmuje z niej co trzeba. Bez pytań, bez zaskoczenia, po prostu towar jak każdy inny. A może jednak nie? Butelka ani trochę nie zakurzona. Pytam, czy często mają tu whisky za siedemset siedemdziesiąt. Uśmiecha się – nie, nie wie, jest to, co jest, ona się trochę zna na tym wszystkim, bo szef wszystko pracownikom tłumaczy, ale rzecz jasna nie jest tak, żeby wszystkiego próbowała, ona tu po prostu jest od ściągania towaru z półek, pakowania w firmowy papier i inkasowania należności. Czy to nie dziwne, że ktoś kupuje whisky za siedemset siedemdziesiąt? Nie, nie dziwne, ktoś to kiedyś kupić musi, inaczej nikt by tego nie robił i nie sprzedawał, a jak robi i sprzedaje, to znaczy, że ktoś kupuje, ot i cała filozofia.

Pora wyłożyć forszę na stół. Wyciągam co trzeba i jeszcze raz dla porządku liczę. Szlag! Zapomniałem, że kupiłem bilet za dwa czterdzieści. Konsternacja. Patrzę zrezygnowany. Brakuje mi proszę pani dwa złote czterdzieści groszy. Co teraz? Nie, nie mogę jutro, muszę dzisiaj. Przyniosę później? Jasna kaszana, ja zawsze byłem uczciwy wobec siebie i innych, nie przyniosę proszę pani, nie będę oszukiwał, nie mam szans przynieść później, czy do Jasnej Anielki nie może mi pani opuścić? No niechże kurza dupa pani nie żartuje, kupuję flaszkę za siedemset siedemdziesiąt, cała moja premia, kiedy pani się trafi taki frajer co wyda tyle na bzdurną flaszkę whisky za tak horrendalną cenę, czy nie można mi, ciężki chrzan, opuścić tych bzdetnych dwa czterdzieści? Geeez, jeżeli pani zadzwoni do szefa, to ta rozmowa z nim będzie więcej kosztować, niż dwa czterdzieści... Ja przepraszam, ja nie powinienem się unosić, ale to dla mnie takie poniżające wyjaśniać, po co mi dzisiaj ta whisky, to nie są żadne urodziny, to coś wprost przeciwnego, bardziej jak stypa... nie, nikt nie umarł, dopiero umrze, każdy w końcu umrze, wypijmy ich zdrowie, no co ja mogę jeszcze powiedzieć, jak pani chce, przyniosę z powrotem butelkę na wymianę, chyba jakaś kaucja jest nie? Ja wiem, że to nie piwo, ale może umówimy się tak, że ja tę butelkę... Babka patrzy na mnie jak na ciężkiego wariata i w końcu daje mi co trzeba. Ludzie, nie czułem się jeszcze nigdy tak fatalnie. Żeby musieć się targować o dwa czterdzieści na flaszkę za siedemset siedemdziesiąt. Na butelce za całą premię. Jestem poniżony. Zamiast aureoli luksusu wisi nade mną hańba spowodowana targowaniem się o niecałe dwa i pół złotego. Wychodzę ze sklepu pokracznym krokiem, garbiąc się pod ciężarem schowanej za pazuchą butelki. Miałem wyjść stąd wyprężony jak struna, dzierżąc upragniony trunek jak Król Artur swój miecz po wyciągnięciu go ze skały. Okrągła suma której nie byłem w stanie zapłacić. Szlag by to, jasny szlag, szlagbytoszlagbytoszlag... Odprowadza mnie wzrokiem przyjemna dziewczyna zza

lady, do której poczułem od razu sympatię, kiedy pokazywałem o jaki trunek mi chodzi. Brzydka dziewczyna z ładnym kucykiem. Lubię brzydkie dziewczyny. Są ładniejsze w swojej brzydocie, od tych ładnych. Ja teraz też jestem brzydki. Dumny i blady liczyłem pieniądze, aż w jednej sekundzie z jaśnie pana zrobił się ze mnie proszalny dziad, żebrzący o dwa złote czterdzieści groszy upustu. A teraz wychodzę z podkulonym ogonem jak zбитy pies, któremu rzucono skórę chleba i dano kopa na podwórko. No dobra, co chciałem to mam, nie po raz pierwszy w życiu ominęła mnie spodziewana satysfakcja. Mogłem jechać na gapę, nawet jakby mnie złapali, dałbym się spisać kanarom z jaśnie pańską miną, mając gdzieś wlepione mi kary. Ale nie pomyślałem o tym wcześniej, nie sposób wyzbyć się pewnych odruchów, a u mnie do takich należało kupowanie i kasowanie biletów. Tak samo jak zamykanie drzwi po wyjściu z domu. Na klucz. Nawet się nie pamięta, że się drzwi zamykało. Po prostu to się robi bez udziału świadomości. Dobre solidne drzwi w stalowej futrynie, dobry solidny zamek, zgrzyt klucza, pociągnąć za klamkę dla pewności. I już. Dalej amnezja. Zamknąłeś drzwi? Kupiłeś i skasowałeś bilet? Uświadamiasz sobie to dopiero wtedy, gdy zabraknie dwóch złotych czterdziestu groszy do upragnionego jaśnierozpanoszenia w sklepie z gatunkowym alkoholem.

Ale w końcu mam, trzymam za pazuchą. Specjalnie założyłem dzisiaj swoją starą spękaną skórzaną kurtkę, żeby choć trochę wyglądać jak lump. Wyobraźcie sobie, lump pijący whisky z górnej półki, siedzący w MacDonalddie... taki właśnie efekt chciałem uzyskać. Wszedłem do wszechobecnego fastfoodowego przybytku i zaraz zrobiłem w tył zwrot. Nie znoszę, jak śpiewa Anna Eliza Bobek! Akurat ją musieli puścić, jakaś taka ostatnio jest na fali, to babsko śpiewa tak, jakby miało chore dziaśła i bało się ich dotknąć językiem, a mimo to popularne jak jasny grzyb. Nie mogę... od razu mam ochotę pędzić w te pędy do toalety żeby umyć zęby – nachodzi mnie jakieś impulsywne natręctwo. Swędzą mnie dziaśła jak ją słyszę. Nie wysiedzę w MacDonalddie puszczaćcym Frau Annelise Bobek, a nie zamierzam pić whisky duszkiem. Też niby można tak zrobić, co powiecie na lumpa tankującego gatunkową whisky duszkiem w miejscu publicznym? Ha, pewnie nikt nie uwierzyłby, że to whisky, ale na przykład jagodzianka na kościach w luksusowym opakowaniu zastępczym. Nie byłem jednak lumpem, choć postarałem się go trochę przypominać. A moja whisky była to ta najdroższa i najprawdziwsza.

Usiadłem na ławeczce przy stoliku. Komplet należał do jakiegoś innego fastfooda, udostępniającego swoje zasoby ławkowe szerokim kręgom klientów miejscowego centrum handlowego. Postarałem się wcześniej o plastikowy kubeczek. Postawiłem go przed sobą na stole. Ładny biały kubeczek. Jakby mu się przyjrzeć pod pewnym kątem, a jednocześnie stracić poczucie skali, można by sobie wyobrazić, że jest to kadłub okrętu kosmicznego, albo gigantyczny silos na odpady radioaktywne. Ewentualnie główny rdzeń reaktora neutrinowego, zasilającego hipernapęd międzygwiazdnej fregaty. Może też przypominać granat ręczny sześćset siódmej generacji, który wejdzie do produkcji za trzy i pół tysiąca lat, pozwalający zamrozić przeciwnika w promieniu dwustu metrów i to selektywnie, żeby żaden sojusznik znajdujący się w polu rażenia nie doznał szkody. Piękna rzecz! Nie mogę się pogodzić, że jednorazowa. Choć z drugiej strony... życie każdego z nas jest przecież jakże bardzo jednorazowe, cóż więc dziwnego w tym, że otaczamy się przedmiotami podobnymi do nas – tak samo jednorazowego użytku, jak i my.

Pora otworzyć flaszkę. Przyjrzałem się jeszcze raz etykietce. Wykwintny trunek kusząco kołysał się w ciemnej cienkiej szyjce. Szkło, z jakiego uczyniono flaszkę, miało ciekawy metaliczny połysk. Zdawało się połyskiwać jakimś niezemskim, wewnętrznym ogniem. Po chwili zorientowałem się, że to tylko refleksy z kolorowych lampek, jakimi oświetlono pobliskie stoisko z zabawkami. No tak, czar nieco prysł. Ale flaszkowe szkło mimo wszystko zachwycało. W końcu jest to butelczyna kosztująca ładny grosz, nie może być wykonana z byle jakiego szkła. Wprawdzie chodzi nam o zawartość flaszki, a nie o nią samą, ale któż zawija trufle we wczorajszą gazetę?

Wypada przystąpić do dzieła. Zerknąłem jeszcze tylko na nienaruszoną banderolkę. Paskuda! Żeby mieć jeszcze gorzką świadomość, ile to Skarb Państwa skubnął nas, wielce szacownych konsumentów, uniemożliwiając nam zakup droższej whisky po niższej cenie! Ja nie chcę płacić za szkołę dla półgłówków ani łożyc na szpital dla wariatów pijąc ostatnią w swoim życiu whisky, na którą wydałem ostatnie zarobione w życiu pieniądze. Ja chętnie wsparłbym i szkołę, i szpital, i jeszcze coś co tylko ustawodawcy przyjdzie na myśl, ale nie teraz, i nie poprzez picie najlepszego trunku jaki mi się trafił i już więcej nie trafi. Ja dawałem się skubać przez kilkanaście ładnych lat zawodowej kariery i nawet nie pisałem, to czyż teraz, w takiej szczególnej chwili, nie powinienem być zwolniony z płacenia akcyzy, podatku i składki na walkę z alkoholizmem? Zerwałem czym prędzej obmierzłą banderolkę – żebyż to było jeszcze ładne, elegancko wydrukowane, z hologramem i wodnym znakiem, ale nie, zwykły papiórek o nieco większej gramaturze. Pozbywając się banderolki zapaćkałem sobie palce ohydny klejem, jakim banderolka była przyklejona. Klej śmierdział rozmokniętą świńską skórą. Koszmar! Cały korek upačkany był banderolkowym lepidłem. Jak to teraz otwierać? Jak to potem pić? W żadnym razie nie z gwinta – no ale kto pije taką whisky z gwinta... Uchhh, żeby zabezpieczać trunek przed profanacją poprzez niewłaściwą formę konsumpcji tak prymitywną metodą jak ubabranie korka banderolkowym klejem w przesadnej obfitości – to już nawet nie jest przesada, to po prostu kpina! Na dodatek banderolkę przylepiono tak, żeby do końca świata było wiadomo, że Skarb Państwa ściągnął należności z tej jednej ekskluzywnej butelczyny. Resztki banderolki twardo tkwiły w kleju. Zjeżyło mnie to. Idę do klopa, muszę to umyć! Klej nie będzie mi psuł dobrego smaku, przecież nie sposób, żeby z tak upačkanego klejem korka nic a nic nie kapnęło w kubek, z którego będę potem pił.

Wróciłem z czystą butelką i zobaczyłem, że mój stolik w tym czasie ktoś już zajął. Plastikowy kubek gdzieś zniknął, zapewne wylądował w koszu na śmieci, jako jeszcze jeden relikwiny konsumpcyjnej cywilizacji. Powinienem zostawić jakąś reklamówkę zapakowaną szpargałami – na znak, że zajęte. Ale co tam, poszukam innego stolika. Ten był o tyle cenny, że znajdował się blisko pieszego ciągu, a ja chciałem pić moją whisky nieco demonstracyjnie. To dziwne, że stolik blisko nieustannie przechodzących obok ludzi tak szybko znalazł amatorów. Może ktoś też chciał zamanifestować coś poprzez spożywanie posiłku? Phy! Słodka para on-i-ona! Nie wyglądali na takich, którym by zależało na czymkolwiek poza romantycznym nastrojem. No to niech mają intymny nastrój przy akompaniamencie werbla drepcących nieopodal trzewików. Ja siadam przy innym stoliku. Najbardziej szkoda mi kubka. Specjalnie zakosiłem go z owocarni sprzedającej porcję świeżego soku pomarańczowego. Teraz nie chce mi się już dyrdać na drugi kraniec alejki, piąć się schodami

dwa piętra wyżej, czekać na kolejny stosowny moment, a potem wracać z powrotem. Tam, na górze, nie ma też atmosfery dla obrazoburczej konsumpcji whisky, najdroższej pod tym dachem. Musiałbym wrócić tutaj, dla spełnienia swej idei. Idę zakosić inny kubek, z sąsiedniej chińskiej jadłodajni, zapewne nie będzie już taki inspirujący jak ten poprzedni, ale z pewnością też ohydnie plastikowy, obciachowy, biało-skarpetkowy, fast-foodowy, snack-barowy, tandetny i kiczowaty. Zdecydowanie nieodpowiedni, by pić w nim ekskluzywną whisky.

Zakosiłem. Bez wyrzutów sumienia, w końcu kubki stoją tu po to, żeby je brać i używać. Biorę i zaraz użyję. Kubek ma zupełnie bezguściastą formę, ale już mi to nie przeszkadza. Hej flaszki w dłoń! Za koreeeeeek... chwyć! Mocuję się jak średniowieczny rycerz z zardzewiałym mieczem. Plama. Korek ani drgnie. Beton. Kaszana. Walę pięścią w denko. Nic. Fizyka zawodzi. Łapię się jeszcze raz za korek i próbuję ze wszystkich sił zmusić go do obrotu... bezskutecznie. Moją szamotaninę zauważył jakiś szpakowaty džentelmen w kraciastej marynarce. Nie tak, przyjacielu, nie tak, to trzeba z wyczuciem, z taką flaszką to jak z kobietą, pokaż pan, oho! Niezła rzecz, masz pan gust, zobacz pan, dwoma palcami... korek istotnie drgnął pod czułą pieśczołą wprawnego chwytu jegomościa, po czym ustąpił z cichym cmoknięciem. Jegomość pożegnał mnie uprzejmym uśmiechem – na zdrowko! – po czym odszedł. Nawet nie wspomniał, że w miejscu publicznym zabronione jest spożycie alkoholu. Szlachetny człek, mości państwo!

No to na zdrowko! Z westchnieniem napełniam kubeczek. Małe plastikowe zero-dwadzieścia-pięć. Muszę się do czegoś przyznać. Nie lubię mocnego alkoholu. Cokolwiek oscylującego wokół czterdziestu procent po prostu kłuje mnie w język. Nigdy też w życiu się nie upiłem. Moja maksymalna dawka to dwa piwa, albo parę lampek wina, nic więcej. Po dwóch piwach to trzecie już mi zwyczajnie nie smakuje, podobnie jest z winem. Na dodatek, kiedy tylko procenty zaczynają szumieć w głowie, to robię się senny i mam jedynie ochotę walnąć się na łóżko, w żadnym wypadku dalej pić. Wtedy kończy się dla mnie jakakolwiek zabawa, mam chęć już tylko na święty spokój. Tak jest z piwem i winem. Jak może być z czymś mocniejszym to nawet nie wiem, bo nigdy nie byłem w stanie zmęczyć więcej niż jeden kieliszek średniej standardowej knajpianej pojemności – czy to wódki czy czegokolwiek innego równie mocnego. No to po kiego grzyba siedzę teraz nad plastikowym kubkiem pełnym najdroższej pod tym dachem whisky?

A bo co, nie można spróbować? Niektórzy twierdzą, że w życiu trzeba spróbować wszystkiego. Spróbować się otruć, skrócić kark, zachorować na raka, wykłuć sobie oko, uciąć język, podciąć żyły... Nie, dajmy spokój, jedni nie wiedzą co czynią, inni nie mają pojęcia, co twierdzą. Bynajmniej nie mam ochoty wszystkiego w życiu spróbować. Ale pewnych, wybranych ciekawostek – czemuż by nie? Dlaczegoż to trunek mający wszelkie powody do tego, by być ohydny w smaku, jest w horrendalnie wysokiej cenie, czemuż potrzebował aż trzydziestu sześciu lat dojrzewania, dlaczegoż to niektórzy uważają, że takie coś trzeba się nauczyć pić? Dlaczego tego nie spróbować?

Próbuję... nastawiłem się na to, że język jak zwykle stanie kołkiem, w gardle zakotłuje się ogień, nozdrzami buchnie aromat jak wystrzał w noc listopadową, zaś żołądkiem popłynie lawa Wezuwiusza... ale niech to, próbuję, próbuję, no ale już...

Nie, jeszcze nie. Złocistobrazowy płyn zafalował mi przed nosem i zapachniał. Niuchnąłem go raz i drugi. Zapachniał przyjemnie. No tak, przeoczyłbym w tym wszystkim coś przyjemnego, co mi się przecież jako nabywcy słusznie należało. Cudowny zapach... gdybym od razu lunął w gardziel piekący płyn, niczego bym nie poczuł i straciłbym jedyny subtelny urok, jaki zapewne jestem w stanie odczuć w czymś takim jak whisky. Niucham więc, niucham, jeszcze jeden niuch, jeszcze drugi... dosyć!

Zdrówko twoje w gardło moje – jak mawiał mój dziadek! Jak na razie jest tu tylko moje gardło, nie mam do kogo przepić zdrowia. Choć może by tak sobie kogoś wybrać? Spójrzmy dookoła, w końcu kłębi się tu obok całkiem spory tłumek. Za kogo by tu wypić? Patrzę się na tłum i uderza we mnie nagle refleksja — jakież ten nasz rodzaj ludzki jest brzydki Geeez! Dookoła same buraczane, łypiące i nieapetyczne łby. Mordyl mordyla mordylem pogania. Niebotycznie gruba i ponura stara baba przechodząca chybotliwym krokiem z lewej. Sklepowa z mięsnego? Być może. Objuczona ponad możliwości siatkami z zakupami. Nienawidząca całego chudego i niedokarmionego świata, pragnąca swoim żarciem, codziennie i wytrwale przygotowywanym, zepsuć tę chudość świata i jego nachalną dbałość o linię, a skoro nie sposób tego zrobić całemu światu, to trzeba przynajmniej dokonać tego wobec najbliższej rodziny. Uszczęśliwić żarciem rodzinę, bo czymże innym uszczęśliwić można, skoro zreć każdy musi, skoro każdy prędzej czy później zgłodnieje i zapagnie szamać, więc dać mu należy szamanko w obfitości, niech zre i niech tyje. Idzie więc baba dalej i wytrwalej, zwalista na złość całemu chudemu światu... Następna za babą, z prawej, jakby dla przeciwwagi, cienka rozchichotana anorektyczka z wystającymi zębami. Przypadek? W każdym bądź razie — koszmar! Obok anorektyczki jakiś łysol, zapewne raper-mafiozo, w obowiązkowym dresie z kapturem, który chyba jak raz zajeździł na śmierć swoją beamkę, stąd ma taki ponury wyraz twarzy. A może nie lubi chudych dziewczuch, ale nie ma wyboru, bo idący obok niego cienki cień rodzaju żeńskiego to lokalna miss podwórka, a taki bonzo jak on przyzwyczaił się zadowalać tylko tym, co inni uważają za najlepsze? Patrzmy dalej. Zasuszony panocek w znoszonej burce. Krańcowo nieciekawym, ekstremalnie wręcz wystandaryzowany przykład miejskiego przeciętnego chłopka-roztropka z owsianym wąsikiem. Na ławce nieopodal wejścia do supermarketu drzemiący dziadyga, któremu z ust powoli wypada przez sen sztuczna szczeka. Za stary, by nadążyć za wnuczkami, które wystrzeliły jak z procy po zakupy i zostawiły dziadka na ławeczce, w nadziei zapewne, że może poderwie go jakaś samotna starsza pani? Sztuczna szczeka znalazła się już na krawędzi katastrofy, kiedy nagle dziadek – chrapnąwszy zamasyście – przebudził się na moment, wprawnym kłapnięciem wciągnął szczekę na właściwe miejsce, po czym zadrzemał dalej. Powodzenia, dziadku, w miłosnych podbojach! Jedziemy dalej. Pod wzrok nawija się wyelegantowany i przycięty w grzybka, młokos z włosami na żel... o przepraszam, nie młokos, tylko piękny dwudziestoletni, niestety, czasem zapominam, że ja już stary dziad jestem i wczorajsza gówniarzeria jest dzisiaj dorosła. Ale to nie dlatego takie wyelegantowane łebki jakoś dziwnie działają mi na nerwy. Nikomu nie zazdrozczę młodości, jeszcze nie muszę. W obitej sztucznej skórą kanapie naprzeciwko lodziarni rozsiadł się właśnie starszawy, wyluzowany na maksa, piękny sześćdziesięcioletni kurdupel w garniturze od Hugo Bossa. A nawet jak nie od Bossa, to ma człek na grzbiecie coś w podobnej klasie cenowej, za trzy średnie krajowe. Zastanawiający przypadek antycznego dziadygi o mentalności i manierach

naszego współczesnego kibola – na co wskazują rozrzucone na boki kończyny dolne, podrygujące zgoła hip-hopowo, tudzież ostentacyjnie wypięta genitalna poza.

Niezwykłych wrażeń dostarcza pobliska, krzywa szyba. Odbija się w niej otaczający ją świat, świat siedzący i przechodzący, świat statyczny i płynący. Świat przekrzywiony nierównościami szyby, zamglony przez papier, którym szyba jest osłonięta z drugiej strony, papier szary pakowy, którym zamaskowano wewnątrz remontowanego właśnie stoiska. Szyba dzięki temu zyskała zdolność odbijania wizerunku świata. A raczej – uzyskała zdolność projekcji tego odbicia wprost do naszych oczu. Do moich oczu. W krzywej szybie przesuwają się gęby nieskończone, gęby drapieżne, gęby znudzone. Gęby szare i koślawe, niektóre jeszcze bardziej krzywizną szyby przekrzywione, inne – jakby sprostowane. Wyłupiaste oczy papuzio odzianej nastolatki, o krzywych i grubych nogach, nabrały smukłości i skośności rodem z Dalszego Wschodu. Wystająca szczeka bandycko agresywnej gęby serwisu sprzątającego z lekka złagodniała, zaś wystający, garbaty nos ochroniarza – jeszcze bardziej się rozgarbać. Ot i niesprawiedliwość optyczna...

Suną więc gęby po szybie... Jedne stoją, drugie siedzą, trzecie zatrzymują się, kręcą, łypią na boki. Ja łypię na nie, a one mnie przeważnie ignorują. Niektóre łypią do mnie, ale zwykle przelotnie, incydentalnie. Czasem czysty przypadek zogniskuje czyjś wzrok na mojej skulonej przy stoliku postaci. To jednak bardzo niewiele zmienia, zgoła niczego nie wnosi. Chociaż zaraz, chwilę... Wydaje mi się, że najbardziej nalany fizys wśród statycznych szybowych odbić, zerka na mnie jakby porozumiewawczo. Aha, skądś mnie mordo znasz? No znasz mnie? Bo ja ciebie nie. No nie gap się! Ale morda nie rozumie, nadal wytrwale łypie. Jakoś dziwnie ściąga na siebie wzrok. Nie dziwne, *rozyca krivaia* jedna, najbardziej buraczany łeb w tym zestawieniu! Gęba chwyta i ciągnie mój wzrok z zawziętością przemysłowego odkurzacza, drapie mnie swoim istnieniem po oczach, rozdyma się na boki, wypęła z szyby, już się w niej nie odbija, już sunie powoli w moim kierunku... Pęcznieje jak balon, przysłania cały gębaty świat dookólny, miarowo kiwa na mnie całą swą opasłością... Zamachałem rękami w geście obrony, chcąc odpędzić widziadło, a wtedy gęba zamachała do mnie. Aha, teraz już wiem skąd ją znam. Skąd ona taka znajoma, skąd taka paskudna i dlaczego mnie prześladowuje. W tej gópiej szybie odbija się przecież i moja twarz!

Wbijam wzrok w kubek. Hej, plastikowy przyjacielu! Kolego usłużny, który pośredniczysz między flaszką a mym gardłem! Twoje zdrowie! Cóż by zrobił świat bez was, plastikowe kubki, szklanki, pucharki, kieliszki, eleganckie literatki i obskurne musztardówki! W czymże byśmy pili? Garścią? Może prosto z gwinta? Fe, fu, fuj, pluj! Niech żyją naczynia pitne! Niech im się służy nam jak najdłużej i najpełniej! Waszmości towarzyszu z tworzywa utoczony – do waszmości – i z waszmości piję!

Nie... jeszcze nie...

Jeszcze jedno spojrzenie...

Gdzieś przed siebie, poza tłum...

Gdzieś tam ona jest. Ona i on. Ten on to mógłbym być ja. I byłem ja, i była ona. Teraz też jest, nie-ta-ona i nie-ten-on, a jednak to są ci sami ludzie. Ja, czy nie ja, jaka to różnica. Zawsze był ktoś taki jak ja, i choć to nie byłem ja, to nie ma w tym żadnej różnicy. Przetaczający się obok tłum to koncentrat zmaterializowanej anonimowości, w którym

zawsze będą jedyne-w-swoim-rodzaju indywidua, chude anorektyczki, tłułowaci dresiarze, zatuczone do granic wytrzymałości gospodynie domowe, zdziałali obywateli i obywatelki, wyjątkowi — jak każdy inny. Wszyscy inni są inni, a przez to tacy sami. Inni. Ja-czy-nie-ja, to bez znaczenia. Ktoś zawsze gdzieś siedzi i się na kogoś gapi, ktoś komuś gardło podrzyna, ktoś umiera, ktoś choruje, ktoś jęczy a ktoś się cieszy. Ktoś. Jedyne obywatel tej planety. Jakiś ktoś. Ktosiek. Ktokolwiecki. Ktokolwiecki Ktosiesław. Jakasińska Jakasława. Ja też jestem Ktoś. A jak będę Nikt, to zawsze zamiast mnie usiądzie gdzieś jakiś Ktoś. Taki sam. A nawet ten sam. Czymkolwiek bym się nie wyróżnił. Każdy się wyróżnia. Więc każdy jest każdy. Inny. I zarazem ten sam.

Piekący płyn wpadł mi aromatycznym wodospadem na język, rozlał się po podniebieniu, zatoczył kręgi we wszystkich zakamarkach ust aby wreszcie spłynąć przez gardło do żołądka. To się stało zbyt szybko i przez przypadek, bo pociągnąłem łyk zupełnie bezwiednie. Przerażony zacząłem wyczekiwać lawy Wezuwiusza, szybciechno łapię głęboki oddech – ale okazuje się, że niepotrzebnie. Żadnego pożaru w ustach nie czuję. Piję dalej. Dobrze. Musi być dobre. W zasadzie to mi nie smakuje, ale musi być dobre. O! Teraz mi już smakuje. Piję. Napelniam. Piję. Stop. Nie piję. Zostało tylko na ostatnią dolewkę. Każda dolewka musi być kiedyś ostatnia. Poczekam. Nie czekam. Piję. Łyk. Wypiłem. Po raz pierwszy.

Wszystko się zaczyna od pierwszego razu.

Ale nie wszystko się kończy.

Są rzeczy nieskończone.

Jeżeli się czegoś nie pamięta, to takie coś nigdy nie istniało.